

# WRÓBLE <sup>na</sup> DACHU

CENA  
**30**  
G R.

Nr. 18. (202). 29. IV. 1934. Rok V. Cena dla Czechosłowacji Kć. 1.20. Należytość pocztowa opłacona gotówką.



**NIEORJENTUJĄCY SIĘ POLICJANT.**

- Panie posterunkowy, gdzie jest obecnie Barthou?
- Ta zaraz — trzy kroki stąd — b a r t u!

Rys. A. Wasilewski, Kraków.

## Opowieść lokaja z M. S. Z-etu.

1.

Gdy miejsce miał w M. S. Z-ecie,  
Bankiet, czy obiad, lub raut,  
Wtedy na takim bankiecie  
Rumor panował i gwałt.

W tym harmiderze i gwarze  
Niejeden minister się darł:  
— Proszę, niech pan mi wskaże,  
Gdzie tu jest coctail-bar!

Wówczas ja, pełen godności,  
Mknąłem do baru, co tchu,  
Krzyżąc za siebie przez gości:  
— Panie ministrze! Bar tu!

2.

Nie zmienia się nic w M. S. Z-ecie,  
Historji dziwię się tej!  
Ostatnio był na bankiecie,  
Minister z Quai d'Orsay...

Tym razem, nie ja, ale koło  
Gości dostojnych (ze stu!)  
Wołało do niego wesóło:  
— Panie ministrze Barthoul!

HIPEK-WARJAT.

## Pantelefon w Warszawie.

Rus. M. Piotrowski, Bydgoszcz.



— Panie Salo, zgodzi się pan, że Nalewki to poiska Palestyna!  
— Przesada! W Palestynie niema tyłu naszych!...

## PERS Z BUENOS AIRES.

Było to gdzieś w r. 1921. Mr. Brown wyczytał w jakiejś gazecie kilka luźnych informacji o Polsce. Mr. Brown był podróżnikiem. Zwiedził szmat ziemi. Prazil się pod równikiem i marzył pod biegunem. Widział wiele krajów i ludzi, ale nie znał Polski. Z dorywczo zebranych informacji, dowiedział się że państwo to powstało na gruzach trzech monarchij i że można w niem porozumieć się językiem niemieckim, a od biedy angielskim i ewentualnie francuskim.

Mr. Brown był człowiekiem szybkiej decyzji. Pojechał.

Ekspress niósł go w wygodnym przedziale do nieznanego kraju. W notatniku wypisał sobie mr. Brown nazwy różnych miast, które w tym kraju miał zwiedzić. Pociąg mknął na wschód lotem ptaka. Nad ranem mr. Brown przetaił oczy. Odsunął firanki i spojrział przez okno. Monotonny krajobraz w szarem świetle, przesuwiał się jak wstęga wzdłuż mknącego pociągu. Mr. Brown zamyślił się.

Wysiąść gdzieś w mieście? Po co? Jeszcze kilka kawiarni, jeszcze policjant, jeszcze jakiś bar z dancinżem... Wszystko to już poznał. Nie zamierzał robić interesów. Chciał tylko poznać kraj.

Gdzież poznam kraj, jak nie na prowincji? Miasta mają międzynarodowy wyraz. Wszystkie są jednakowe. Trzeba wysiąść po drodze na zapadłej stacji. Pomyślał i zrobił.

Kiedy pociąg wjeżdżał na jakąś stację, Mr. Brown pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Pociąg stanął. Zrobił się ruch. Mr. Brown wyrzucił przez okno kufry, zapłacił jakąś małą karę w funtach i wysiadł. Na froncie niepozornego budynku widniał napis: „Monastajreszka”. Mr. Brown złożył bagaż na stacji począł się dopytywać o miasto. Nikt go nie rozumiał i nikogo on. Pokazano mu jakąś drogę. Takiej nie widział nawet w Kamerunie. Po uciążliwym marszu zamykało przed oczyma podróżnika miasteczko.

Mr. Brown, który już nabrał przekonania, że Polska jest krajem bezdrożnym, po którym można jedynie jeździć kolejami, zdumiał się.

— Kulturalny świat — mruknął do siebie. — Zaraz u wejścia do miasta widzę antenę radjową. — Mr. Brown sfotografował ten szczegół i zrobił odpowiedni zapisek w notesie. Był to tak typowy dla naszych miasteczek drut przeciągnięty przez starozakonnych w poprzek drogi. Mr. Brown nie otrzymał się jeszcze z jednej niespodzianki, a już czekała go druga. Zza węgła jakiegoś domu wyszła naprzeciw niego świnia. Mr. Brown ucieszył się. Wszak świnia czworonożna jest symbolem szczęścia.

Szedł dalej. Nagle stanął olśniony. Ulicą szedł jakiś dżentelmen w czarnym odzieniu, przypominającym staromodny angielz, tylko nieco dłuższy. Jegomość miał atlasowe pumpy, białe pończochy i lśniące, czarne pantofle. Długa, asyryjska broda okalała mu twarz. Po skroniach z pod lisiej szapki spływały loki. Takiego typu nie widział Mr. Brown w swoim życiu. Momentalnie nastawił aparat fotograficzny. Bezboleśnie zdjął go!

— Teraz wywiad! Za wszelką cenę wywiad! — powiedział sobie mr. Brown. Podszedł do tajemniczego osobnika, pozdrawiając go stereotypowo — Good morning.

— A giten Tug! — odrzekł acan w białych pończochach.

— Wybacz pan — zaczął mr. Brown po niemiecku — chciałem zapytać, skąd pan pochodzi?

— Ech? — odezwał się zapytany — ech aus Monastajres.

Monastajres... To brzmiało w uszach Mr. Browna, jak Buenos Aires.

— Pan się nazywa? — odezwał się znowu.

— Ech?... Szajpsi.

— Szajpsi... Osobliwe nazwisko.

— Czem pan jest właściwie?

— Ech byn a melamed.

Mr. Brown ważył zasłyszane słowa. — Melamed Szajpsi aus Monastajres, to nie innego, jak tylko południowo-amerykański Pers. Ten strój. Ta wymowa, to nazwisko...

— Mr. Brown pytał dalej:

— A czy pan jest żonaty?

— Jo — odezwał się gentleman.

— A ma pan dużo dzieci?

— 89 sztuk! — odrzekł spokojnie Szajpsi.

Mr. Brown omal nie zamdlał. Zachwiał się i zdołał wykrztusić:

— Jak pan to robi?

— Ech nysz! — brzmiała odpowiedź — ech hab anen giten belfer! To nie ja. Ja mam dobrego belfra.

Mr. Brown, aczkolwiek człek bystrego rozumu, nie mógł tego pojąć. Szybko opuścił miasteczko i najbliższym pociągiem wyjechał do Anglii, gdzie napisał dzieło o południowo-amerykańskich Persach osiadłych w Polsce i odznaczających się niebywałą płodnością.

Tytuł dzieła brzmiał: „Melamed Szajpsi of Monastajres”.

Tak to skromny melamed, męska guwernantka dla dzieci z chederu, urósł do rozmiarów giganta.

## Z kosza redakcyjnego.

Bankiet — nastrój coraz serdeczniejszy. Z początku był tylko zamrożony szampan. Potem jednak przyszła polska wódka.

— Jedna wzmocniona — na wzmocnienie sojuszu... \* \* \*

Minister Barthou pozazdrościł Burbonowi, który brał ślub na Wawelu — i „ożenił” się z ministrem Beckiem na zamku wawelskim. Jeden z dowcipnych dziennikarzy zauważył:

— Tylko niech Polska nie zmienia wiary i nie żąda rozwodu... \* \* \*

Min. Barthou, przechodząc nieprawidłowo przez jezdnię w Warszawie, został zatrzymany przez posterunkowego, który ściągnął od ministra symbolicznego „złociszca”. W Warszawie mówią, że jest to pierwszy złoty, jaki — łatwo zarobiliśmy od Francuzów! \* \* \*

W Niemczech odłam żydów, trzymających z Hitlerem, utworzył partję narodowo-niemieckich żydów. Przed kilku dniami nowa partja urządziła w Berlinie pochód, podczas którego niesiono transparenty z napisami: „Heil Hitler! Precz z nami!” \* \* \*

Nowomianowany wojewoda objeżdża miasteczka swego powiatu. W jednym z nich przedstawia mu się również i ochotnicza straż pożarna.

— No i jak tam? — pyta łaskawie dostojnik komendanta straży. — Strażacy dobrze się sprawują? Cwiczą pilnie?

— Owszem, panie wojewodo, tylko pali się zamało! \* \* \*

— Jak to, i ty śmiesz mi mówić, że w Legionach tylko służyłem 5 miesięcy, a tam samemu nie mogę należeć do Związku Legionistów? Przecież samej paki miałem pięć miesięcy... \* \* \*

## Zalecanki dyplomatyczne.

Jak wiadomo, min. Barthou przybył do Polski jedynie w misji dyplomatycznej. W drodze do Warszawy, min. Barthou wykroczył po za ramy oficjalnego programu i wręczył kwiaty pierwszej „Polce”. Rys. A. Wasilewski, Kraków.



Ładne kwiatki!...

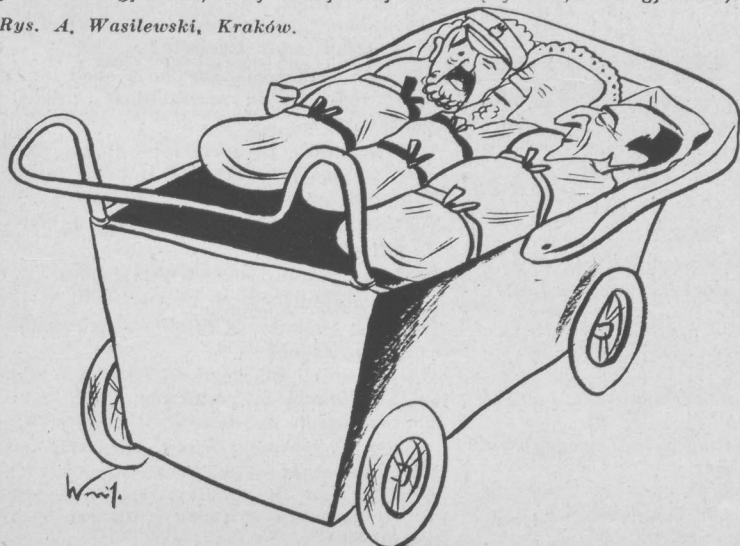
## POCIĄG DANCING-BRIDŻ-MINISTER.

W Emesecie panuje ruch. Przygotowujemy olbrzymią imprezę dyplomatyczną. Zdziwimy Europę. Oto z inicjatywy naszego M. S. Z. wyruszy w drogę po Polsce wielki pociąg poularny pod hasłem „dancing-bridż-minister”. W pociągu tym wezmą udział wszyscy ministrowie

## Po XII Zjeździe delegatów Związku Legionistów.

(Prez. Sławek oświadczył — że członkiem Zw. Legionistów może być tylko taki legionista, który conajmniej 6 miesięcy służył w Legionach).

Rys. A. Wasilewski, Kraków.



Sześciomiesięczni legioniści...

wie zaprzyjaźnionych państw. Poza tem przyjedzie kilkunastu ministrów niezdecydowanych.

Udało się nam zdobyć program tej bajecznej wycieczki.

**PUNKT ZBORNY MINISTRÓW** — Zbąszyń. Powitanie gości nastąpi wiązką hymnów zagranicznych. Następnie ministrowie otrzymają wiązkę kwiatów. Na peronie ustawi się oddział kobiecego P. W., a ministrowie będą mogli dowolnie oddawać im otrzymywane bukiety. Z kolei rozdane zostaną między ministrów bloczki, uprawniające w Warszawie do bezpłatnego noclegu, oraz do wyboru rautu, lub galowego przedstawienia w teatrze (Uwaga: bloczki są imienne i nie wolno ich odstępować innym mocarstwom). Poza tem każdy z obcych ministrów otrzyma bon, uprawniający do zawarcia z nami do wyboru paktu. Rozdane będą również przepisy o ruchu ulicznym w Warszawie, celem uniknięcia zajść z policją.

**POZNAN.** Na stację udekorowaną efektownie wjeżdża pociąg witany entuzjastycznie przez tłum, który wyprzega lokomotywę i przy frenetycznych okrzykach wypycha pociąg na stację. Tutaj prezydent miasta wita gości chlebem. Solą dopiero powita wojewoda krakowski w Wieliczce.

**DROGA POZNAN—WARSZAWA.** Ministrowie chodzą po pociągu, poznają się nawzajem, wymieniają uściski rąk i noty. Potem krótki trening — ministrowie ćwiczą się, który z nich głośniejszy krzyknie „Vive la Pologne”. Potem krzyczą chóralnie i na głosy. To jest tak zwany: koncert europejski.

**WARSZAWA.** Na dworcu orkiestra gra „Jak to na wojence ładnie”. Prezydent miasta wita gości i wręcza im na poduszce klucze od pokoi hotelowych, w których mają zamieszkać. Potem następuje rozdzielanie dokładnych programów pobytu w stolicy.

Godz. 9 rano: Wspólna fotografia i podpisywanie dedykacji z komplementami. Godz. 9.30: Ministrowie rozjeżdżają się po mieście. Godz. 10—12: Czas wolny dla załatwiania paktów itp. (Uwaga: W dniu tym wszystkie ministerstwa będą miały przedłużone godziny urzędowania). Godz. 14: Czas wolny dla przeprowadzania ważnych intryg politycznych.

**WYJAZD DO KRAKOWA.** W pociągu rozdaje się groch dla karmienia gołębi marjackich oraz zwięzły poradnik: „Czem należy się zachowywać w Krakowie?”

Impreza zapowiada się wspaniale — wobec czego nasz minister spraw zagranicznych ma otrzymać tytuł honorowego prezesa związków turystycznych w Polsce. **GEER.**

## Zakonspirowany radjopajęczarz.

Rys. T. Dzioba, Lwów



Poranna gimnastyka w takt muzyki!...

1934 - T. Dzioba

## OGŁĘDNA INFORMACJA.

Kalapsik jest chory na *biegunkę*. Odwiedza go znajomy. Otwiera pani Kalapsikowa.

- Jest mąż?
- Owszem, ale chory.
- Cóż mu jest?
- Jest... hm... *polarnie niedysponowany!*...

## JEGO „WIEK“

- Ile masz lat, Felek?
- Osiem.
- Osiem?!
- Tak, ale adwokat uspokaja mnie, że w apelacji zmniejszą mi *do połowy!*...

## DZIECKO SZCZĘŚCIA.

- I co ty idziesz mówić do tego Cytrynowera? To jest prawdziwe dziecko szczęścia!
- Ładne dziecko szczęścia! Wczoraj akurat przejechało go auto!
- Ale jakie auto? Auto sanitarne! Czyje auto? Pogotowia Ratunkowego!

## SZCZYT ROZTARGNIENIA.

- Pan wiesz, panie Kugelband, co jest szczytem *roztargnienia*?
- Pękam z ciekawości!
- Otóż: nastąpić sobie samemu jedną nogą na drugą, nie powiedzieć „przepraszam“ i *namyślać* sobie za *złe wychowanie!*!

## MYŚL FILOZOFICZNA.

Ze wstrętnej *poczwar*ki wykluwa się piękny motyl. A z pięknej narzeczonej wykluwa się *poczwar*a-żona!!

## SERCE JAK WOSK.

Katastrofa! Kasjer pana Chrupcałki uciekł z kasą i panią Chrupcałkową. Po miesiącu p. Chrupcałka otrzymuje od niesumiennego kasjera list:  
„*Szanowny Panie! Przyznaję, że ruszyło mnie sumienie. Tymczasem odsyłam Panu żonę, która zjawi się u Pana jutro.*”

Z szacunkiem  
Gawel Liwoczyński“.

## Strafki mocarstwowe.

Wciąż Kraków na dziejowej łące —  
goście, wiaty, rauty, tłum —  
w niedzielę Niemcy nas zwiędzali,  
we środę zwiędzali nas Barthou...

Skończyły się dni nasze zwykle  
nieporozumień, kwasów, ans —  
okrzyk w niedzielę brzmiał: Heil Hitler!  
we wtorek okrzyk: Vive la France!

Myśmy mocarstwem jednym słowem —  
a że nie możemy rady dać  
sobie ze Śląskiem, z Żyrardowem —  
głupstwo! Heil Hitler, Vive la France!

WITEK.

Któż nam co w Europie robi —  
przyjaciół mamy dziś partout  
i my nic nie robimy sobie,  
gdy mamy takie pas-Barthou...

Wszędzie jesteśmy dzisiaj dobrzy  
i przyjacielska zewsząd dłoń —  
po Europie płynie okrzyk:  
Heil Polen i Vive la Pologne!

## Pp. Pantelefon z synkiem na meczu.

— Halo! Tu jest wejście. Tu jest *bramka* wchodowa!

— Uj, Tubka, ty już idziesz używać techniczne wirazy sportowe. Ta *bramka* to się tobi udała!

— Salo, jakie *wziąłeś miejsca*?

— Nic nie wziąłem! Nie jestem *Parzyński*, żeby coś brać! Poprostu kupilem.

— Tatumio, czy my zajmujemy *ten miejsce*?

— Gedyminek, sto razy czebi rzekłem, że sze nie mówi: „*zajmujemy ten miejsce*“, tylko: „*zajmujemy tego miejsca*“!

— Salo, faktycznie sze *boję* szedzieć w drugiego rzędu, bo tu można dostać piłką w *ciemniączko*...

— Niemądra Ewo rodzaju ludzkiego! Sze tu każdy o to *boi*. Przecież ten kawałek matki ziemi sze nazywa nawet: *boisko*.

— Siadaj tu, Salo. Stąd będzie dobrze widać.

— Plac?

— Nie, Patatajerową z tym idjotą!

— Z mężem?

— Jeśli rzekam: z *idjotą* — to wiadomo, że z *mężem*. Jasne?

— Tatumio, dlaczego ci panowie latają w takich krótkich majteczkach? Czy uni nie mają porządných spodniów?

— Oj, Gedyminek! Sze ty nie znasz, co sport rozmnaża szyły i w zdrowem ciele zdrowy duch! To, co tu oglądasz modremi szlipkami, to jest igraszka mięsni i turniej sprawności fizycznej!

— Salo, mężutek ty mój! Czy tobie nie jest czasem *niedobrze*?...

— Mi jest *stale* niedobrze! Komu dziś *dobrze*?

— Nie o to chodzi! Zaniepokoiłam sze, że tak *górn*o-zalotnie mówisz...

— Sze nie znasz, Tubka, na dewaluacje indywidualium ludzkiego, pod napływem widowiska sportowego!

— No dobrze już, dobrze! A o co tu im chodzi?

— Jedni chcą drugim wrzucić piłkę do bramki.

— No, to poco *przeszkadzają* im te dwa szmondaki w bramkach?...

— Tatumio, dlaczego sze wszyscy kopają?

— To jest właśnie *tężyzna*!

— To dlaczego tamten chudy trzyma się za nogę i kuleje? Czy też z *tężyzny*?...

— Uj, Salo!

— Co jest, co?

— Kopają naszych z „*Makkabi*“! My lepiej burzmy nogi w zapas i uciekajmy, gdzie pieprz dojrzewa!

— Tatumio!

— Co, Gedyminek, ty moja niedoródźba maletka, co?

— Dlaczego wszyscy krzyczą „*gol*“?

— Sze znaczy, że jednemu udało sze wkopać drugiemu piłkę do tego małego domeczku...

— I co un zato dostanie?

— Nic, bo un jest *amator*.

— Rzeczywiście — *amator*!...

B. BRZEZIŃSKI.

## PIESKI DOMOWE.

Pan Hozenspiegel bał się panicznie psów. Znalgo z tego wszyscy znajomi i szanowali w nim ten szlachetny rys narodowościowy.

Pewnego razu pan Hozenspiegel wygrał na loterii grubszą gotówkę i za namową swej żoneczki Salci, oraz ośmiorga dzieci, wybudował za miastem willę. Tu zaczęły się tragedje.

— Panie Hozenspiegel! — mówili przyjaciele — pan ma willę daleko za miastem, pan potrzebuje mieć złośliwego psa! Jak pan nie będzie miał psa, to pana okradną!

Ale pan Hozenspiegel był niewzruszony.

Raz odwiedza pana Hozenspiegla przyjaciel jego pan Hitlersztos. Patrzy... a tu na bramie willi wisi olbrzymia tablica z napisem: „*Bacność — tu wściekle psy*“.

Zdziwiony pan Hitlersztos dzwoni. W tej chwili

od strony willi rozlega się okropne ujadanie zgrai psów. Wkrótce zjawia się przy furcie pan Hozenspiegel.

— Co jest, co, panie Ha? — pyta gość. — Pan się przestał bać psów? Pan sobie kupił całą zgraję piesków!

Hozenspiegel rozgląda się trwożliwie wokoło.

— Cicho... coś panu powiem... Pan myśli, że to psy? Pan się grubo myli. Ja tylko nauczyłem szczekać całą swoją rodzinę...

ALI-BABA,

## Z DESZCZU POD RYNNĘ.

Dyzio odwiedza swego przyjaciela Fipcia i na jego widok woła zdumiony:

— Bój się Boga, chłopie, masz żonę, a sam sobie przyszywasz guziki do swego płaszczka?

— Nic podobnego — odpowiada Fipcio — przecież to jest płaszcz mojej żony!

## Kawał z brodą Abrahama.

Rys. J. Zaruba, Warszawa.



— Panie Solowiejczyk, co to są właściwie syjonści?  
— Syjonści, to są tacy żydzi, którzy za pieniądze drugich żydów, wysyłają trzecich żydów do Palestyny!

## Mądrej głowie, dość na słowie.

Rys. Wik, Kraków.



— Panie Blau, co pan powiesz, chciałem pożyczyć 10 złotych od tego Hirsza, to on mi odmówił. Czy on nie jest świnia!...

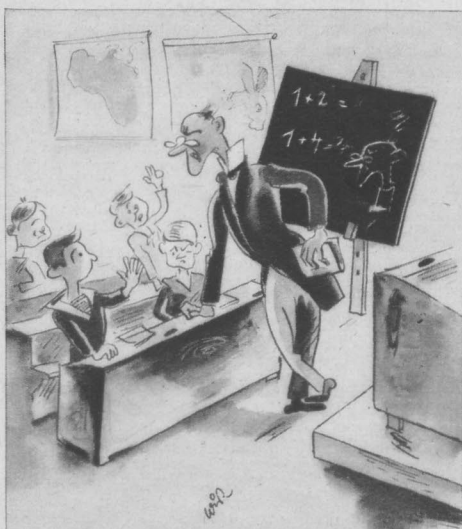
— Panie Cypeles, ja także jestem świnia!...

### ISTOTNIE PRZESĄD.

Żydzi są przesądni, uważają bowiem, że więcej jak 13 osób nie powinno jechać jedną dorożką.

## Najstarszy szmonces.

Rys. Wik, Kraków.



— Moryc, jeśli twój ojciec sprzeda 2 m. 65 cm. materji po...

— Panie profesorze, to jest stary kawał!...

### MIAŁA SZCZĘŚCIE.

Na pokładzie luksusowego statku, zdążającego z Australji do Europy, znajduje się również dama o wyższych aspiracjach artystycznych. Dama uważa za swój obowiązek raczyć swych towarzyszy podróży codziennie kilkugodzinnym koncertem fortepjanowym, znęcając się nad wspaniałym „Bechsteinem”, stojącym w salonie pierwszej klasy do dyspozycji pasażerów.

Wszelkie zażalenia nie odnoszą żadnego skutku. Wreszcie trzech Amerykanów, doprowadzonych do ostateczności, powzięło szalony projekt. Zakupili „Bechsteina” za 1085 dolarów i wrzucili go do morza.

Dama uczuła się mocno dotknięta tym postępkiem Amerykanów, nie mającym najmniejszego zrozumienia dla jej wzniosłej sztuki.

— Szanowna pani — pociesza ją któryś z gości — niech pani będzie zadowolona, że pani oprócz tego nie śpiewała jeszcze!

### DZIKIE PRETENSJE.

— Wiesz Lorciu, jesteś niemożliwa, siedzę tu od dwóch godzin i czekam na ciebie!

— Dzikie pretensje, powiedziałam ci zgóry, że nie mogę być punktualna eo do minuty!

### SPÓZNIONE MARZENIE.

Gość w restauracji, któremu podano twarogą kurę: — Żałuję bardzo panie gospodarzu, że tej kury nie zjadłem dawniej — jako jajecznicę!

## POWITANIE NA CICHO.

W pewnym mieście w Polsce na dworcu kolejowym oczekują przedstawiciele władz przyjazdu min. Barthou. Widać zdenerwowanie u dostojników.

— Panie prezesie, pan będzie uprzejmy i powita pan w paru słowach ministra — odzywa się jeden z panów w cylindrze.

— Z największą chęcią, ale mam anginę!

— Więc może pan, panie prezydencie!

— Niestety, mam obecnie fatalną dykcję, ten dentysta...

W tym momencie zajeżdża na dworzec pociąg. Dygnitarz Francji wysiada z wagonu, witany owacyjnie. Odślaniają się głowy. Okrzyki — przywitania. Dygnitarze przechodzą do salonu recepcyjnego. Grobowa cisza zalega wytworny salon. Wszyscy stoją i z niecierpliwością oczekują pierwszych mów powitalnych. Płyną minuty.

Po pięciu minutach błyskawicznie orjentuje się przydzielony ministrowi urzędnik magistratu, władający językiem francuskim, i zwraca się do ministra Barthou:

— Panie ministrze! Z powodu groźnego pożaru, jaki wybuchł przed godziną w okolicy naszego grodu, uczciliśmy przybycie pana ministra... pięćminutowym milczeniem.

w.

### KASJER.

Poliper zarekomendował Pelikanerowi kasjera. Chcąc się dowiedzieć, czy Pelikauer jest z nowego kasjera zadowolony, pyta Poliper:

— Jak pan znalazł kasjera, którego panu przed miesiącem poleciłem.

— Zwyczajnie: listami gośćzemi!...

### STARY KAWAŁ NA CZASIE.

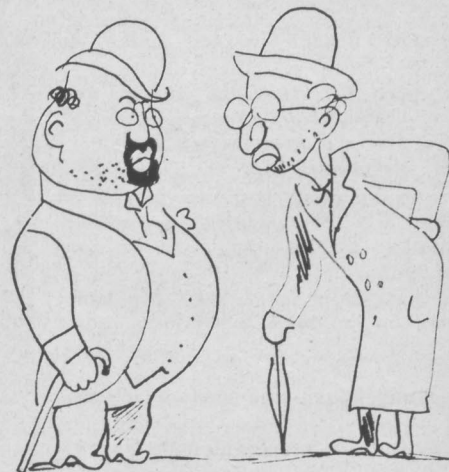
Pan Salo Pantelefon wybiera się z wycieczką do Afryki.

— Uj, Salo, co ty wyrabiasz? Ty jedziesz do Afryki? Przecież tam jest o tej porze 40 stopni w cieniu? — ostrzega go przyjaciel pan Kuba Salc.

— No i co z tego? — odpowiada lekceważąco pan Salo — czy ja muszę akurat chodzić w cieniu?

## Pewny środek.

Rys. J. Zaruba, Warszawa.



— Uj, jak mnie tamie w kościach — pewno będzie deszcz!!!

— A masz pan co na łamaniu w kościach?

— Mam!

— No, to pan bierz prędzej — poco ma być deszcz?!

## ROZWIĄZANIE ZAGADKI RYSUNKOWEJ Nr. 5.

Pan Sonda od lat marzył o jakichś bohater-  
skich wyczynach. Śniły mu się awanturniczo  
wyprawy, poszukiwanie ukrytych skarbów... —  
— Ha! — zawołał pan Sonda pewnego dnia. —  
Poco mam daleko szukać, mając kopiec Kra-  
kusa pod nosem!

W wielkiej tajemnicy, przed konserwatorem  
prochów Krakusa, wybrał się na zdobycie spo-  
dziewanych skarbów. Jakże były losy tej wy-  
prawy zostawiliśmy do rozstrzygnięcia naszym  
Czytelnikom. Rzecz jasna, że liczne grono  
Sympatyków dokopało się prawdziwych skar-  
bów humoru w postaci roczników naszego pi-  
sma. Któryś z dowcipniśców twierdzi, że kopiec  
Krakusa, to poprostu olbrzymie jajo przedpoto-  
powego olbrzyma-ptaka przysypane z wiekiem  
warstwą ziemi. Inni pozwolili p. Sondzie doko-  
pać się dna kryzysu lub skarbu w postaci...  
guzika. Pan Sonda nie znalazłszy spodziewa-  
nego skarbu, nie łamie jednakże rąk z rozpaczy  
jak zapalki, tylko jak sobie wyobraża jeden  
z Czytelników, otwiera wielkie przedsięwzięcie  
w podziemiach Koepa i robi kolosalną forse.

Dowcipne rozwiązanie nadesłał p. Latawiec.  
Otóż p. Sonda tak długo kopał aż się prze-  
kopał na drugą stronę półkuli. Według innej wer-  
sji wyprawa po skarby miała wcale niemity  
epilog. Pana Sondę przyłapał komornik...

Jury redakcyjne bez zgody archeologów i  
konserwatorów przyznała nagrody:

I. nagrodę w kwocie 20 zł. — Aleksandrowi  
Weszczyńskiemu z Chodzieża.

II. nagrodę — 10 zł. Aleksandrowi Stawow-  
czykowi z Krakowa.

III. nagrodę — 5 zł. Tadeuszowi Tomaszew-  
skiemu ze Lwowa.



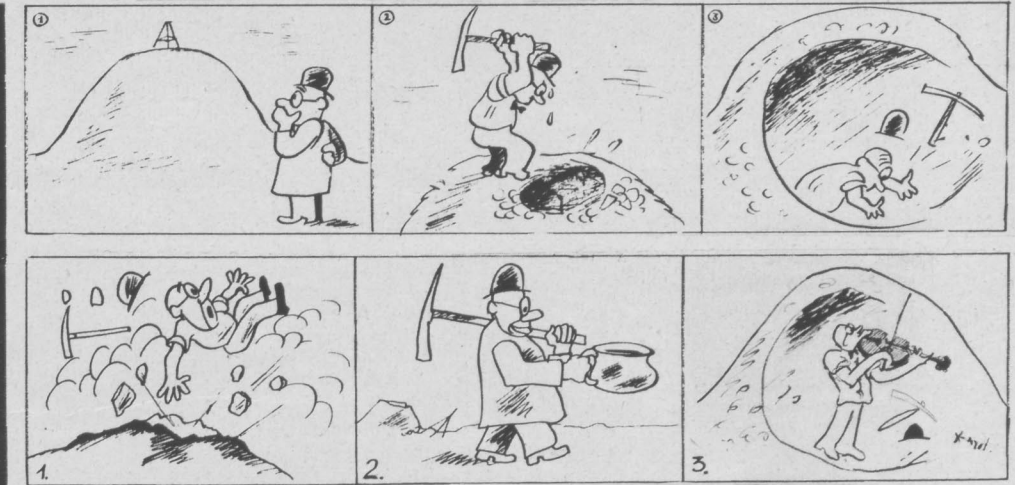
## FRANSAKCJA.

Dziedzic przyjechał do miasta i natych-  
miast polecił przyprowadzić do siebie swego  
żyda Berka.

— Berku — powiada pan Cieśliński na  
Wielkich i Małych Cieślicach — musisz mi  
koniecznie znaleźć dogę.

— Doga? Dlaczego nie? A ile pan dzie-  
dzic chce zapłacić za dogę?

— 150 złotych.

Nagroda I.  
20 zł.

Pan Sonda przekonał się, że  
kopiec jest niezupełnie wy-  
gastym wulkanem!...

Nagroda II.  
10 zł.

Pan Sonda wykopał cenną  
wagę, którą zachował do  
własnego użytku!

Nagroda III.  
5 zł.

Pan Sonda znalazł pogrze-  
bany w młodości talent...

— 150 złotych? Oj waj. Za 150 złotych  
nie można dostać żadnego porządnego doga.

— A za ile?

— Przynajmniej za 200.

— No dobrze, niech będzie 200. Pal cię  
lichu! Pospiesz się bo dziś jeszcze wracam  
do domu.

Berek nie rusza się z miejsca.

— No, czego chcesz jeszcze? — niecier-  
pliwi się dziedzic — Idź już sobie.

Berek skrobie się w głowę.

— Przepraszam pana dziedzica, że jestem  
taki śmiały, ale co to jest dog?

## MOŻE SIĘ UDA.

Moryc Eisenbahndrüt kupuje bilety przy  
kasie kolejowej.

— A ile będzie kosztować bilet dla mo-  
jej córeczki Salci? — pyta kasjera.

— Jeśli dziecko nie ma jeszcze czterech  
lat, może jechać zadarmo.

— Nu, jakto zadarmo? — dziwi się  
Moryc. — Przecie ono też zajmuje miejsce  
na ławce!

— Taka jest ustawa!

— Panie kasjer, niech mi pan powie, ile  
mi pan opuści z mojego biletu, jak ja moja  
Salcię zostawię w domu?

## WRODZONE ZDOLNOŚCI.

— Bardzo jestem zadowolony z pani sy-  
na, pani Grubasińska, zwłaszcza w angielskim  
robi nadzwyczajne postępy!

— O, panie profesorze, to mnie całkiem  
nie dziwi, do angielskiego miał od małego  
wielkie zamiłowanie, przechodził nawet an-  
gielską chorobę!

## GDY SIĘ NIE MA PRZESĄDÓW.

Mojżesz Pinczower sprzeniewierzył się  
zwyczajom swoich przodków. Co sobotę u-  
daje się za miasto i pali papierosy. Pewne-  
go razu zaszedł dalej niż zwykle i zbliżył  
się do prochowni. Wartownik woła zdaleka:

— Ej, ty tam, żydzie, nie wolno palić!

— No, co — odpowiada Pinczower zaro-  
zumiały — ja już nie wierzę w takie zabo-  
bony.

## SPOSTRZEGLA.

— Ach, pani Knocikowa, wie pani, że  
czasem to mi się zdaje, że mój mąż niewiele  
sobie robi ze mnie!

— A skądże pani takie myśli przychodzą  
do głowy, pani Serdelkowa?

— Mija już trzeci rok, jak nie wraca do  
domu!

## ZAWSZE KUPIEC.

Lekarz do chorego żyda: — Pan jest  
chory, panie Glancpapier, pan ma cukier.

Pan Glancpapier: — Przepraszam, panie  
doktorze, czy w kawalkach, czy kryształ?

## Wyjaśniony problem.

Rys. W. Schleggen, Lwów.



W. Schleggen.

— Panie Salo! Jak zdobyć pieniądze i wyjść z długów?

Pantefon: — Gdybym wiedział jak zdobyć pieniądze i pozbyć się długów tobym  
był takim kapcanem jak jestem i wogóle bym z panem nie rozmawiał...

## Aryjczyk stuprocentowy.

Rys. Wik, Kraków.



Wik

— Panie Blau, pan także idziesz emigrować do Palestyny?  
 — Ja? Nic podobnego! To pan nie wie, że ja jadę z pielgrzymką do Ziemi Świętej!...

„WRÓBLE NA DACHU”, TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, WYCHODZI W KAŻDĄ NIEDZIELĘ W WARSZAWIE I KRAKOWIE.  
 PRENUMERATA KWARTALNA 3 ZŁ. 50 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA WIELOPOLE 1. TELEFONY: 150-60 do 150-66. — WARSZAWA, KRAK. PRZEDMIEŚCIE 9  
 TELEFONY: 551-90, 551-91, 551-92. NUMER KONTA W P. K. O. W KRAKOWIE 411.000.

KIEROWNIK ARTYSTYCZNY I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: ANTONI WASILEWSKI, WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER”  
 ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO” POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO W KRAKOWIE R. 1934.